

Warszawa dnia 8 (20) Lutego 1867 roku.

Nr 8. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

PRZENAJŚWIĘTSZA PANNA.

Obraz, którego kopję podajemy w drzeworycie, jest utworu znakomitego hiszpańskiego malarza *Murillo*. Zaniechawszy illustrowanie *powieści* w piśmie naszem, zwracać odtąd będziemy uwagę na celniejsze utwory sztuki, tak naszych rodaków jako i zagranicznych malarzy i rzeźbiarzy różnych epok, i w wiernych, o ile drzeworyt dać może kopjach, przedstawiać zamierzamy celniejsze ich utwory. Sądzimy, że na tem więcej korzyści odniosą nasi czytelnicy, aniżeli na illustrowaniu powieści — które traktowane przez wszystkie pisma illustrowane, już się zużyło i nudnem być zaczyna; zresztą dobra powieść, bez pomocy sztuki drzeworytniczéj dobrą zawsze będzie, bo utalentowany powieściopisarz, wybitniejsze sceny tak zdolnie odda piórem, jak tego niekiedy ani malarz, ani drzeworytnik wykonać nie są w stanie. Zresztą, przedstawiając celniejsze utwory sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej, będziemy mieli sposobność przedstawiać czytelnikom naszym, chociaż treściwe wiadomości o samych artystach, które jak sądzimy, obojętnemi być nie mogą dla czytelników. Lecz powróćmy do Murilla i jego obrazu Przenajświętsza Panna. Urodził on się w Sewilli 1618 roku. Od lat najmłodszych okazywał wielkie zdolności do malarstwa, z tego powodu wzięty został przez stryja, malarza z powołania. Lecz nie długo korzystał z pomocy stryja; wkrótce sam sobie oddany, kształcił się o własnych siłach. Długi czas walczył z wielkiem niedostatkiem i pracować musiał na chleb codzienny, co kształceniu się jego artystycznemu nie mogło pomagać. Utrzymywał się nędznie dosyć, malując obrazy kościelne. Później party własnym geniuszem, który mu nie dawał spoczynku, zaczął Murillo studjować utwory znakomitszych malarzy współczesnych i na wzorach tych tak się potrafił ukształcić, że gdy w roku 1645 powrócił do rodzinnego miasta Sewilli, uzyskał w krót-



Przenajświętsza Panna. (Kopja z obrazu Murilla.)

kim czasie rozgłos i sławę. Zaproszony do Kadyksu, gdzie miał malować obraz do głównego ołtarza w kościele Kapucynów, upadł nieszczęśliwie z rusztowania, w skutek czego zakończył życie w najokropniejszych męczarniach. Obrazy Murilla odznaczają się wielką oryginalnością, koloryt jego nadzwyczaj żywy, płomienisty, odbijający zda się prawdziwie to gorące światło słońca hiszpańskiego. Zarzucają mu niejakie zaniedbanie w wiernem oddaniu natury. Lecz Murillo nie był kopistą. On tworzył sam z siebie; tworząc w swych arcydziełach to właściwe mu z jego estetycznych pojęć o piękności, wynikające piętno ideału, ku któremu dążył w swoim całym zawodzie. A choć nieraz zdaje się treść obrazu kłócić z idealnem onego zachwyceniem, wszelako przeciwieństwo to umiał malarz łączyć genjalnem swem wykonaniem. Niewiele po nim pozostało obrazów, a wszystkie stoją między znawcami w ogromnej cenie.

Oryginał przedstawionej na naszym drzeworycie Przenajświętszéj Panny, znajduje się w Londynie, dokąd zakupiony został z Sewilli, za wielką summę pieniędzy. *L.*

PROSTAK WIEJSKI.

PRZEZ

Stefana Witwickiego.

Niewiem gdzie tam lepiej komu,
Każdyć panem własnej woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swej roli.
Nie ciekawym, co tam poda
Zagranicznym miastom moda;
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat—otwarte wrota—
Dzięki Bogu, wiem i w kraju
Co jest rozum, grzeczność cnota.
Wiem co praca daje temu,
Gdy nie czyni jak szalony,
Lecz kraj kocha po staremu,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły
Myśli że świat przeinaczy,
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt, wolę ja stare:
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami
Górnościami, czułościami,
I gdy jakiś zysk w tem zoczy,
Jako może mydli oczy.
U mnie—znam się na oszustach
Prawda w sercu, prawda w ustach,
Do prostotym wzwyczajony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy i tak daléj;
Mnie gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mnie w wiosce kmieć pochwali.
Gdy pochwalą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi.
Tom już całkiem nacieszony
Niech Bóg będzie pochwalony!

DZIWNI LUDZIE,

POWIEŚĆ

NAPISAŁ

Wołody Skiba.

Wstęp.

Przed kilkunastą miesiącami odebrałem list następujący:

Kochany Przyjacielu!

Interesa różnego rodzaju, zmusiły mnie niedawno odbyć długą podróż rzemiennym dyszlem po okolicach miasta *N.*

Znasz mnie żem ciekawy z natury, domyślisz się więc łatwo, że nocując po zajazdach i dworach, dnie nieraz całe przepędzając w naszych poczciwych miasteczkach, gdzie zazwyczaj wszystkiego oprócz tego co na razie potrzebne dostać można, rozpytywałem się wolnym czasem o wszystko, co mi się zdawało godnem uwagi obowiązkowego turysty po własnym włóczącego się kraju.

Otóż jednego dnia woźnica mój wskazał mi w przejeździe na wioskę położoną opodal i tak mówił:

— *Dziwni* to *ludzie* byli ci panowie Szerepowie z Suchej Wòli. Ojciec odludek, a syn—Panie odpuść, bezbożnik—rozkopywał po nocach groby na cmentarzach, jak nie przymierzając dzikie zwierzę... Ot tam na boku stał dawniej dwór, tylko się spalił, będzie temu lat kilkanaście... a w tym dworze spaliło się wszyściuteńko co było.... jakiś człowiek nawet. Tylko pieniądze papierowe co były przy tym *dziwnym człowieku* ocalały czy cudem, czy przez jakieś czary...

O kilka mil od tego miejsca, kiedym stał w zajeździe w miasteczku, pokazywano mi znów inną wioskę i taki dodawano komentarz:

— Kilkanaście lat temu był w téj wiosce dzierżawca, jakiś *dziwny* dzierżawca proszę pana... a *dziwniejsze* jeszcze goście do niego przyjeżdżali, jacyś wcale inaksi ludzie co jadali grzyby ze smołą. Ci goście pozastrzeliwali się w ogrodzie, ot tam za dworem, a on na tem zarobił kilkanaście miljonów i mógłby żyć jak pan, ale przez *dziwactwo* swòje oddał cały ten majątek na cudze dzieci...

Uderzyły mnie te w legendę przekształcać się zaczynające wspomnienia jakichś *dziwnych ludzi*, i korzystając z dłuższego w okolicy pobytu, zebrałem z opowiadań szczegóły zawarte w załączonem opowiadaniu, które może kiedyś obrobić i w formie powieści ogłosić zechcesz.

Twój X. X.

Z treściwego opowiadania dołączonego do powyższego listu, powstała powieść o *dziwnych ludziach*, którą w ręce pobłażliwych ludzi oddaję.

Wołody Skiba.

Dnia 19 Stycznia 1867 r.



I.

Poświęcenie.

Lat kilkanaście już odbiegło od dnia, który tragicznie zapisał się wpamięci mieszkańców okolicy nadwiślańskiej, sławnego sądami miasteczka.

Było to pod koniec Lutego czy na początku Marca. Przez cały dzień, szalony wicher dzikie harce wyprawiał z chmurami na Niebie, nie dozwalając im ani się w deszcz rozpłynąć, ani w śnieg rozsypać, a nad wieczorem spędził je licznem stadem nad horyzont sandomierski, tak że pomimo dosyć wczesnej jeszcze godziny, noc już ciemna zdawała się panować nad światem.

W ciągu tego dnia droga z S* do K*, była prawie zupełnie pustą.

Na prowincji gdzie życie nie tak bystrym płynie potokiem, w zimie, kiedy zwykła przerwa w pracach gospodarskich głębszą jeszcze ciszę rozlewa na ciche już zazwyczaj wioski, podobne opustoszenie jednej z dróg bocznych, jużby samo przez się dziwnem niebyło. Tego dnia jednak oprócz zawiei, która napadała obcesem na każdego co śmiał się wychylić z domu, był inny jeszcze powód, który odstręczał od podróży mieszkańców okolicy tamtejszej, a raczej ruch ogólny zwracał w inną stronę.

W niedalekiej odległości Wisła wystąpiła z brzegów, a wiadomo jak straszną jest piękna rzeka nasza, gdy jej fale rozhukane zaczną robić spustoszenia po nadbrzeżnych nizinach.

W okolicach zalanych lub zagrożonych, skupiało się wszystko co żyło. Jedni śpiesząc ratować dotkniętych powodzią, inni pragnąc o ile praca ludzka podoła zapobiedz grożącemu nieszczęściu, gromadzili się na Powiślu. Wszystko co żyło, albo walczyło z żywiołem, który się zdawał zaprzysięgać zagładę mienia a nawet i życia — lub przygotowywało się do tej walki tak krótkiej zwykle, a tak strasznej i trudnej. Ustały interesa bieżące, w obec jednego najwyższej wagi interesu zabezpieczenia bytu i siedziby; nic nikogo nie pociągało do miasteczka i drogi okoliczne były puste, odludne, smutne...

Już noc przedwczesna dość gęstym cieniem pokryła okolicę, kiedy na drodze przez cały prawie dzień opuszczonej, ukazała się bryczka parą niezłych koni zaprzężona. Konie te długą widać przebyły drogę, bo mimo zacięć batem i charakterystycznych przemów woźnicy, nie postępowały jakoś stosownie do myśli otulonego w ciężkie i ciepłe, chociaż niekosztowne futro podróżnego, który wciąż niespokojnym wzrokiem rzucając przed siebie, rad był zda się, spojrzeniem przebić warstwę cienia i dobiedz aż do Wisły co w dali szalała.

W ciągu drogi stała mała karczemka. Przejeżdżając koło niej, woźnica najwymowniejszemi jak umiał argumentami przekonywać począł swojego pana o potrzebie dania spoczynku zmordowanym koniom, uledz jednakże musiał stanowczej woli podróżnego, który o chwili zwłoki nie chciał słuchać i pojechał dalej dobywając biczem resztki sił z biednej pary kasztanów, oglądających się smutnie za świeżo wyminiętą stajnią.

Nie na wiele przecież przydał się upór i pośpiech podróżnemu.

O parę staj zaledwie za karczemką uderzenie o kamień, którego w cieniach nocy dojrzeć nie była podobna, rozbiło obręcz koła i dalsza jazda stała się po prostu niemożebną.

Zsiadłszy z bryczki, chwilę jeszcze nasz podróżny przyglądał się nadwerężonemu kołu, nim dał rozkaz zawrócenia do karczmy, nie bez narzekań na fatalną przygodę co mu do kresu drogi gorąco widać upragnionego, dość szybko przybyć nie pozwalała.

Podróżny przybył do karczmy nadąsany i chmurny. Nie zwracał uwagi na zapytanie gospodarza, który go częstował wszystkiem cokolwiek zajazd jego posiadał, kazał tylko wyprządz konie, dać im obroku, czemprędzej posłać do kawala i wszedłszy do gościnnej izby, nie zrzucił futra, nie zdjął czapki, nie siadł by spocząć, lecz żywym krokiem przeszedłszy kilka razy po izbie, stanął wreszcie przed oknem i wytężony wzrok wlepił w noc ciemną, jakby chciał okiem przedrzeć się przez burzę i przebyć resztę drogi, co jeszcze przed nim zostawała.

A poza oknem wył wicher szalony...

Nie długo tak wpatrywał się w noc nasz podróżny, gdy w oddali niespodziewany widok uderzył jego oko.

Było to najprzód światełko małe, żywe, migocące, czerwone, dalekie. Blask za słaby nie oświecał jeszcze miejsca zkąd wychodziło, a już podróżny z niepokojem śledzić zaczął tę jaskrawą pochodnię, którą może potrzeba a może nieszczęście, zapaliło wśród ciemnej i okropnej nocy.

Wkrótce czerwona gwiazda, zaczęła się stawać coraz większą i niby zbliżać się poczęła. Wiatr rozdmuchywał ją gwałtownie i za chwilę nie było już wątpliwości... płomiennym pędzlem na skraju poziomu zarysowało się domostwo całe, przed którem drobne postacie ludzi jakoby cienie się słaniały.

Filantrop jaki, człowiek czuły na nędzę bliźnich, załamałby ręce i wykrzyknąwszy z westchnieniem „nieszczęście!" poszedłby grzać się do pieca.

Tchórz zacząłby wołać ratunku.

Podróżny zrzucił futro, wybiegł z izby, poszedł do stajni, wyprowadził jednego ze świeżo wyprzężonych koni, wskoczył na niego i puścił się cwałem przez pola, linją przez gorejący drogoskaz wytkniętą.

Kierowany wolą człowieka, u którego od myśli do czynu tak było blisko, koń zdał się odgadywać życzenia pana i niósł go rączym galopem. Wkrótce stanął nasz podróżny na miejscu i tu dopiero spostrzegł niepodobieństwo ratunku.

Dom drewniany, prawie całkiem stał już w płomieniach. Ludzie zgromadzeni do około, po wię-

kszej części osłupiałemi oczyma patrzyli w ogień bezczynnie. Kilku ledwie krzątało się, pragnąc ocalić od zapalenia pobliskie gospodarskie budowle. Nikt nie zdawał się kierować ratunkiem, a i przywódca nie zdałby się może na wiele, bo nic do uratowania nie było...

Na uboczu, gruppa ludzi cuciła omdlałą kobietę...

Przy tej to gruppie zatrzymał się nowo przybyły podówczas właśnie, kiedy omdlona dzięki przychylnym choć nieumiejętnym staraniom otaczającej ją gromadki, odetchnęła i dała znak życia.

Żyje! żyje!—zawołano do koła.

— Dzięki Bogu—odezwał się głos jakiś—a już mało było nadziei.

— Gdybyśmy się chwilkę spóźnili byłoby po niej.

Omdlona otworzyła oczy.

— Oh! lepiej mi... dziękuję... dobrzy ludzie...

Chciała coś więcej mówić, lecz nagle jakby niespodziewanem przypomnieniem uderzona, odzyskała całą żywość spojrzenia i szybko prowadząc okiem do koła, zdawała się liczyć obecnych...

— A on?.....—zapytała nareszcie okropnym chociaż słabym głosem—gdzie on?... gdzie grajek?...

Wszyscy z przerażeniem i zgrozą spojrzeli po sobie.

— Gdzie był?—zapytano.

— W kuchni!—odpowiedziała otrzeźwiona zupełnie przestrachem kobieta — w kuchni.... spał.... Boże..... cały dwór w płomieniach!... ratujcie go! ratujcie!

Jedni spoglądali na drugich, lecz nikt się nie wysuwał naprzód. W istocie trudno już było myślić o ratunku, domostwo było prawie jedną massą ognia. Z jednej tylko strony do dwóch okien płomienie nie doszły jeszcze, lecz zbliżały się tak szybko, że lada chwila i ta ostatnia droga tak niebezpieczna i tak trudna, mogła być zagrodzona czerwonym słupem pożaru.

Rzucać się tamtędy było narażeniem się na śmierć niechybną; widzom zamierał oddech w piersiach i krew zastygała w żyłach, lecz żaden poruszyć się nie śmiał.

Świeżo przybyły w mgnieniu oka spostrzegł i odgadł znaczenie tej śmiertelnej, grobowej ciszy...

— Nikt nie idzie—zawołał—bracia!... to obowiązek... kto ma Boga w sercu... w płomień!

Słowa te nie popchnęły nikogo.

Nieznajomy nie stracił drogiej chwili na ich powtarzania napróżne. Ledwie upłynął czas potrzebny na położenie krzyża Pańskiego na piersi, już był przy jednem z okien do których jeszcze płomień nie dosięgnął, rozbił je silnem uderzeniem całego ciała i w mgnieniu oka dostał się do środka.

Cisza nieruchoma, bezwładna, zapanowała w gromadzie ludzi w rozpacznej bezczynności przypatrujących się okropnemu dramatowi, jaki się odgrywał przed ich oczyma.

Każda chwila zdała się wiekiem dla widzów, a nikt nie powie czem być musiała dla głównego działacza téj pięknej choć okropnej sceny poświęcenia.

On, otoczony płomieniami w domostwie którego nie znał rozkładu, nie zachwiany, nie ulękły, dusząc się dymem i żarem, szybkim krokiem przechodził dość liczne pokoje, napróżno usiłując znaleść i ocalić biedną ofiarę straszliwej przygody.

Wołał, lecz nie odbierał żadnej odpowiedzi...

Nie myśląc cofać się w połowie drogi, z nieugiętą, zuchwałą wolą przebiegał wszystkie dostępne jeszcze miejsca objętego ogniem domostwa i dopiero gdy spostrzegł, że nigdzie dalej dostać się już nie było podobna, gdy się przekonał że dalszy upór jego na nic się już przydać nie mógł ofierze, która nie podobna aby dotąd wśród płomieni żyć mogła, gdy poparzony, na wpół zaduszony, zabiegłemi krwią oczyma zmierzył szybki postęp niszczącego żywiołu, dopiero wtedy pomyślał o odwrocie i zaczął szukać téj saméj drogi, którą się dostał do środka.

Nie łatwem to jednak było zadaniem odnaleść drogę w miejscu nieznanem, wśród dymu i żaru, gdy rosnące co chwila niebezpieczeństwo uderzało wyobraźnią jak gromem i wszelką odbierało nadzieję.

Nasz bohater nie stracił przecież przytomności. Po kilku chwilach odnajduje swą drogę, widzi już okno przez które się dostał w głąb' domostwa, okno dotychczas jeszcze nie objęte płomieniem; by się dostać do niego potrzebuje przejść jeszcze jeden tylko pokój, lecz właśnie gdy miał przebyć próg tego pokoju, załamuje się jego sufit i drogę do ucieczki zagradza...

Zewsząd otoczony płomieniem, mając przecięty odwrót w którąkolwiek stronę, podróżny spostrzegł śmierć przed sobą.

Na krótką, błyskawiczną chwilę, wykrzyk strasznej rozpaczy wydarł mu się z piersi i wargi zacisnęły się konwulsyjnie.

Uczucie to z piorunową szybkością ustąpiło miejsca innemu.

Nogi zachwiały się pod nieznajomym... padł na kolana.

Modlitwą jego były tylko dwa wyrazy:

— Boże, ratuj!

I znów chwilowo odzyskał odbiegające siły, zerwał się, wybiegł do drugiego pokoju, do którego wewnętrznemi drzwiami dostać się było jeszcze można, lecz którego okna i drzwi zewnętrzne zabarykadowała już pożoga.

— Ja żyć będę!.... ja żyć muszę!... ja żyć chcę!.... wołał rwąc sobie włosy z głowy i osłupiałym wzrokiem wpatrując się w płomień...

Lecz ani rozpacz, ani modlitwa, ani żelazna wola, nie były już dostateczne—było za późno.

Spostrzegł to wkrótce nieszczęśliwy.

Czuł jakieś straszne odurzenie. Był pewnym, że za chwilę padnie by nie powstać więcej. Do koła otoczony płomieniem, smarząc się w żarze piekielnym, jeśli żył jeszcze, jeśli czuł, jeśli myślał—było to tylko wypływem ogromu jego siły moralnej.

— Stało się!... -jęknął załamując ręce—za chwilę wszystko się skończy... zginę!...

Tu znowu inną uderzony myślą, szarpnął się za pierś gwałtownie i wyjął pugilares z zanadrza.

— Zginę!....—zawołał—ale to zginąć nie może.... to czyste imię moje.... dzieci spuścizna.... biednych dzieci!....

Chwilę tulił swój skarb na piersiach, jak gdyby sądził, że tym sposobem go uchowa, lecz wnet zrozumiał że to bynajmniéj nie ocali przedmiotu, który musiał być dlań nad wszystko drogim, kiedy w tak strasznej chwili mógł o nim pamiętać — i błędnym wzrokiem zaczął szukać do koła środka zabezpieczenia tego, co czystem swem imieniem i spuścizną dzieci nazywał.

Myśl ocalenia tak drobnego przedmiotu od po-

żaru, który chłonął wszystko i wkrótce jego samego miał pochłonąć, wyglądała na obłąkanie przedzgonne.

Żaden środek odpowiedni do spełnienia tego zamiaru, nie nasuwał się na razie.

Dopiero po upływie pewnego czasu, który był może sekundą, chociaż nieznajomemu stuleciem się zdawał, wpadły mu w oko drzwiczki żelazne znajdujące się w ścianie, które zamykały otwór jednego z luftów kominowych.

Nic nie przemawiało za bezpieczeństwem tego otworu jako kryjówki, nic przedewszystkiem nie upewniało, że przedmiot tam wrzucony gdyby nawet ocalał dostanie się kiedykolwiek w ręce tych, dla których był przeznaczony... lecz nieznajomy nie chciał i nie mógł myśleć i wybierać, chwycił się więc jak kotwicy zbawienia myśli ukrycia tam swojego skarbu.

Ostatniem nie ledwie wysileniem dostał się do tych drzwiczek, otworzył je, wrzucił swój skarb, a następnie wlepiając oczy w zaczynające goreć po nad jego głową deski sufitu, zawołał:

— Boże, który mnie opuszczasz.... Tobie powierzam przyszłość dzieci moich!...

Zachwiał się i padł na sprzęt jakiś... przytomność go odbiegać zaczęła..... oczy się zamknęły.... myśl zamarła... dech ustał...

Lecz i to trwało tylko chwilę.

Żelazna organizacja i z tego otrząsnęła się omdlenia.

W bólu czy w obłąkaniu, nieznajomy zerwał się jak tygrys raniony i w mgnieniu oka rzucił się w płomień.......



II.

Śmierć sprawiedliwego.

koło dworu wpośród ludzi zebranych, odgrywał się nie mniej pewno okropny dramat przerażenia.

Niesłychana odwaga nieznanego przybysza, olśniła dusze prostaczków tak, jak błyskawica wzrok do łagodnego światła przyzwyczajony olśniewa. Wszyscy ci ludzie byli zdolni do cichych, do ciągłych, drobnych pojedyńczo poświęceń, lecz wytrwaniem ogromnych ofiar — ale grom poświęcenia jakim czyn nieznajomego uderzył przed ich oczyma, wyższym był nad nich.... zagłuszył ich i oślepił.

Skamienieli patrzyli za nim jak za aniołem zesłanym z Nieba, który bezpiecznie wśród płomieni chodzić powinien.... W niczyjej duszy nie powstała myśl pójścia za nim i naśladowania jego czynu, każdy bowiem zdawał się odgadywać instynktownie, że do takiego czynu ten tylko był zdolny, kogo jakby umyślnie Opatrzność na dokonanie go przysłała.

I w pierwszej chwili nikt się nie bał nawet o los człowieka, co w paszczę śmierci rzucał się tak śmiało.

Osłupienie było zrazu podziwem tylko, nie przerażeniem.

Wkrótce jednak zmienić się to musiało.

Pobyt podróżnego w płomieniach, dla obojętnego widza wydałby się bardzo krótkim. To cośmy powyżej opisali, odbyło się w czasie znacznie krótszym niż na przeczytanie opisu potrzeba. W takich jednak wypadkach inaczej wcale czas się liczy.

Widzom—zrazu tak pewnym szczęśliwego rozwiązania tego strasznego widowiska — wkrótce się zdało, że zbyt długo na to rozwiązanie czekać musieli.

Chwile zdawały się bez końca, podziw odwagi nieznajomego ustępował drżeniu o jego życie, myśl nieszczęścia znalazła wstęp do przekonań, owładnęła wszystkich i poprzykuwała ich do miejsca.

Każdy z najżywszym niepokojem chciwem okiem śledził rozwój pożaru, którego najmniejszy postęp, patrzącym tchnienia w piersiach lodowacił.

Wkrótce potem zapadł się sufit. Okno, którem wszedł nieznajomy stało się dlań nieprzystępne.

Gromada cała jak jeden człowiek, wydała rozdzierający okrzyk rozpaczy.

Jeszcze ostatnie echo tego bolesnego okrzyku nie zamarło, gdy z poblizkiego niewielkiego gaiku wysunęła się dziwna biała postać i dosyć szybkim choć niepewnym krokiem zbliżać się zaczęła ku pogorzelisku.

Był to chłopiec może szesnastoletni, z miny jednakże wyglądający na dziecko, w białej sukmanie, bez czapki, z rozczochranym nadzwyczaj jasnym włosem, wielką nad miarę głową i błędnem, pozbawionem rozumu spojrzeniem.

Pod pachą trzymał skrzypce bardzo niewykwintnej roboty, ze smyczkiem zasuniętym za struny.

Widok pożaru zdawał się bardzo zajmować tę osobliwą postać wiejskiego muzyka. Patrzył weń pilnie, a pozbawione wyrazu jego oko, zdawało się czerpać z płomienia jakiś blask dziwny, jakieś chorobliwe życie.

Szedł wolnym krokiem ku gromadzie ludzi załamujących ręce w osłupieniu i drżących z obawy o człowieka, o którym nic więcej nie wiedzieli oprócz tego że duchem poświęcenia, wysokiem pojęciem o obowiązkach ludzkich, praktyką miłości bliźniego, wzniósł się jako posąg ponad zwykłych ludzi.

Gdy chłopak ze skrzypcami pod pachą zbliżył się do tej niemej gromadki, nowy okrzyk wydarł się z piersi wszystkich.

— Jan Biały!... grajek!... zawołano, — grajek!... tyś nie tam... ty żyjesz!...

Chłopak spojrzał na ludzi dziwiących się jego przybyciu, a w spojrzeniu tem widać było wyraźnie, iż nie pojmował czemu się dziwili.

Pojawienie się grajka, jak iskrą elektryczną uderzyło obecnych.

Nie rozumując, nie badając, widząc tylko cały ogrom, całą fatalność pomyłki, która nieznajomego na niechybną śmierć posłała, w duszach wszystkich świadków tego wypadku wyrodziło się przekonanie, że świętym ich obowiązkiem było kosztem wszystkiego coby się stać mogło, niedopuścić tak strasznej, a tak bezużytecznej zarazem ofiary.

Wielkie, przejmujące zgrozą wypadki, zbyt silnie uderzając na wyobraźnią ludzi, głuszyć zwykły, przynajmiéj w pierwszej chwili, nie tylko podszepty egoizmu i rozumowania interesu, lecz nawet myśl o własnem bezpieczeństwie i przyrodzony instynkt za-

chowawczy. Pod wpływem takich wypadków, zdarza się nieraz widzieć masy działające jak jeden człowiek i w chwili tych porywów szlachetnych—dokonywające dzieł, o których w zwykłej kolei życia zamarzyć by nawet nie śmiały.

Taki nagły przewrót, miał miejsce w duszach widzów tej dreszczem przejmującej sceny.

Nikt nie wiedział który pierwszy ruszył się z miejsca, nikt nie wiedział kto dał przykład a kto był tylko pociągnięty przykładem, — wszyscy rzucili się ku stojącemu w płomieniach domostwu.

W nieświadomym sobie zapale ratujących, nie jedno jeszcze nastąpić by mogło nieszczęście, niejeden uniesiony własnym nic nie rozliczającym popędem lub popchnięty przez innych, mógłby wpaść w płomień i więcej nie wrócić.

— Pochód ten przecież nierozważny, nie doszedł do swojego kresu.

Myśl ocalenia bądź co bądź nieznajomego, zelektryzowała wszystkich w tej dopiero chwili, gdy po kilku minutach pobytu wśród objętego ogniem domostwa, nieznajomy przebiegł już wszystkie stopnie walki wewnętrznej i gwałtownem, konwulsyjnem ostatniem wysileniem, skarb swój ukrywszy jak sądził najlepiej, na przebój rzucał się się w płomień.

Nim więc szlachetni choć zbyt późno obrońcy przebyć zdołali krótką przestrzeń oddzielającą ich od gorejącego otworu, przez jedno z okien czy drzwi całkiem objętych płomieniami wyskoczył naprzeciw nich człowiek w słup ognia przemieniony i o kilka kroków opodal bez jęku, bez krzyku, padł na ziemię.

Zgromadzono się około niego i palącą się odzież jego wkrótce ugasić zdołano.

Nigdy zapewne kilkunastu świadków jednej sceny jednomyślniejsze nie przejmowały uczucia. Nikt nie przemawiał do nikogo, uroczystość ciszy dorównywała swą powagą majestatowi widowiska i ogromowi boleści przejmującej serca wszystkich, nikt nie pozostał jednakże bezczynnym, każdy czuł i wiedział co robi.

Kilku dosiadło koni i rozmaitemi drogami puściło się galopem we wszystkie strony: do Osieka, do Staszowa, do Koprzywnicy, po lekarzy; inni z największą ostróżnością składali w jedną ranę zmienione ciało nieznajomego na prześcieradło, aby je przenieść na folwark i pierwszą mu pomoc udzielić.

Za postępującem powolnie gronem przenoszących ciało, postępował ze zwieszoną głową, milczący, smutny chłopiec w białej sukmanie, jakby mu jakiś głos wewnętrzny wytłumaczył: że to on był mimowolną przyczyną tej ofiary, i że jemu miejsce przypada za tym pogrzebowym konwojem, któremu przyświecała czerwona łuna pożaru.

Pomimo strasznego stanu w jakim się znajdowało ciało podróżnego, pomimo bezwładnej sztywności jego członków, pomimo ran okropnych jakie nieprzerwanem nieledwie pasmem po całem ciele się ciągnęły, a nawet pomimo długotrwającej bezprzytomności i nieruchomości niaznajomego, który niedawał znaku życia żadnym ruchem, żadnym jękiem, żadnem westchnieniem, nikt nie tracił nadziei, że żywot tak szlachetnie ofiarowany na ratunek bliźniego zagrożonego niebezpieczeństwem da się ocalić, i że jak nic na świecie bez celu nie ginie, tak i to pięknym czynem uświęcone życie, bez celu zginąć nie powinno.

Krótko jednak trwało to złudzenie, ten słaby odblask nadziei.

Nim jeszcze przybył którykolwiek z lekarzy, za którymi rozbiegnięto się na wszystkie strony, już w gromadce prostych wioski mieszkańców otaczających popalone ciało, zrodziła się wątpliwość nie co do tego czy nieznajomy żyć będzie, lecz co do tego czy żyje.

Od tej wątpliwości do oczywistego przeświadczenia się o strasznej prawdzie zbyt było blisko, i nie zadługo z serc ściśnionych boleścią wyrwał się smutny wykrzyk:

— Trup!... nieżywy!...

Wkrótce potem jeden z zawezwanych doktorów przybył na miejsce i obejrzawszy ciało nieznajomego, potwierdził domysł okropny.

Człowiek sprawiedliwy już nie żył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYŻYMADŁO DO BIELIZNY.

W domowych zajęciach, kobiecych, pomiędzy innemi, pranie bielizny stanowi jeden z przedmiotów ważniejszych. Idzie tu bowiem raz: o należyte oczyszczenie bielizny z brudu; powtóre o niepodarcie takowej i potrzecie, o oszczędzenie siły rąk służących, praczek i w ślad za tem idące oszczędzenie kosztów na wykonanie tej czynności.

Niedziw przeto, że od wielu lat starano się tę mozolną pracę ręczną zastąpić działaczami mechnicznemi, ale niestety dotąd prawie bezskutecznie. Wprawdzie tak zwana praczka Szlązka, upowszechniła się kilka lat temu po zakładach zwłaszcza większych: jak szpitale, więzienia i t. p. doświadczenie jednak przekonało, że i ona ma swoje niedogodności, a pomiędzy innemi tę najważniejszą, że drze bieliznę. Słusznie więc, że probowana w niejednym domu obywatelskim zaniechaną została, i zwrot ku praniu bielizny rękoma ludzkiemi, uważamy za zupełnie uzasadniony. Nie idzie zatem, aby już w tym przedmiocie mechanika wyrzekła ostatnie słowo: o niemożności zastósowania w praktyce przyrządów do prania mechanicznego bielizny, nie wcale, jesteśmy tego przekonania, że kwestja ta w niedługim przeciągu czasu pomyślnym skutkiem uwieńczoną zostanie, a domniemanie to opieramy na dwóch świeżo wynalezionych maszynkach: jednej do wyżymania mokrej bielizny, a drugiej do maglowania suchej—obu podług zdania kompetentnych gospodyń, odznaczających się praktycznością pomysłu i przez to choć w części rozwiązujących kwestję prania bielizny sposobem mechanicznym. W tym N-e Opiekuna Domowego, damy treściwe wyobrażenie o pierwszej z rzeczonych maszynek, pozostawiając sobie na czas późniejszy opisanie drugiej.

Wiadomo, że wyżymanie bielizny mokrej, to najważniejsza czynność w praniu ręcznem, a zarazem najbardziej utrudniająca dla służby, ręce bowiem puchną i paznokcie złażą, a skutek niezawsze pożądany. Nie dziw więc, że za ogłoszeniem przez Zakład Rolniczo-Przemysłowo-Leśny Zygmunta Ostrowskiego w Warszawie (ulica Senatorska N-er 473 lit. d.) iż sprowadził w r. z. przyrząd do wyżymania mokrej bielizny, gospodynie nasze zaciekawione tą nowością, w znacznej liczbie poczyniły zapotrzebowania; dziś dowiadujemy się, że przyrząd ten istotnie miał się okazać praktycznym i dla tego też podajemy tu historję tego wynalazku i jego opis treściwy, wsparty odpowiednim rysunkiem.

Pomysł przyrządu tego powstał w Ameryce, zkąd przeniesiony do Anglji, upatentowany został na imię właściciela fabryki narzędzi rolniczych pod firmą *Hornsby et Sons.* Zasadą pomysłu są walce gutaperchowe osadzone w drewnianym postumencie, obracające się na żelaznych osiach za pośrednictwem korby, która się kręci ręką ludzką. Pomiędzy te walce wsuwa się bieliznę, a obrot korby to sprawia, że bielizna przechodząc pomiędzy walcami, wyciska się

szczelnie z wody, która spływa w balję, bielizna zaś upada na zewnątrz do przygotowanego w tym celu koszyka. Przyrząd cały utwierdza się do balji za pośrednictwem żelaznych śrób, które szczelnie przykręcić należy. Chcąc zaś, aby pomiędzy walcami przechodziła cieńsza lub grubsza bielizna, pojedyńczo lub złożona na dwoje, troje lub czworo, dość jest (jak w przyrządzie sprowadzonym przez pana Ostrowskiego) odkręcić lub przykręcić zwierzchnie skrajne gałki postumentu, a jak w ulepszonej maszynie, tu na rysunku podanej, odkręcić lub przykręcić gałkę górną, przez którą przeprowadzaną jest rękojeść. Przyrząd ten niezbyt drogi, bo w Warszawie kosztuje rs. 12. *L.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



P. L.... w powiecie Kowelskim, gubernji Wołyńskiej. Marmur karraryjski pochodzi z Włoch, z okolic miasta *Carrara* (Karrar) leżącego niedaleko Modeny—miasta, które do roku 1859 było stolicą księztwa Modeńskiego, włączonego następnie do Królestwa Włoskiego. Marmur karraryjski odznacza się czystością i białością.

— Pani *** *z Krzywego Koła* w (Warszawie). Na zapytanie Pani: jak masz postępować, aby mąż jej majster professji szewckiej, więcej dom miłował i w poniedziałek pracował, a nie upijał się w Bawarji na Podwalu, odpowiadamy przytoczeniem wiersza znanego poety:

„Mąż głowa domu, wszystkim rządzi według własnej chęci,
Żona to tylko szyja, co tą głową kręci.

Co do poniedziałkowania radzimy pani, abyś mężowi przeczytała, nb. gdy będzie trzeźwym, piękną powieść *Zacharjasiewicza „Poniedziałek“* umieszczoną w I-ym i artykuł Ad. N. *Nakęskiego „Poniedziałkowanie,“* umieszczony w II-im Tomie *Opiekuna.*

ROZMAITOŚCI.

— † **Michał Brzostowski.** W dniu 1-ym Lutego r. b. zmarł w 62-m roku życia Michał Brzostowski, zasłużony nauczyciel w szkołach Warszawskich. Wyższe naukowe wykształcenie otrzymał on w *b.* Wileńskim uniwersytecie, w którym w 1828 roku pozyskał stopień naukowy Magistra Filozofji. Od pierwszych chwil młodości aż do zgonu, poświęcił on się z zamiłowaniem trudnemu, ale wielce zaszczytnemu zawodowi nauczycielskiemu. W Królestwie Polskiem, najprzód wykładał w 1836 roku w *b.* szkole obwodowej Sandomierskiej przedmioty matematyczne; w następnym 1837 roku powołany został na nauczyciela gimnazjum gubernjalnego w Warszawie; w 1862 na nauczyciela matematyki wyższej w Instytucie Polytechnicznym i Rolniczoleśnym w Nowej Aleksandrji (Puławach); w 1863 został professorem szkoły głównej w Warszawie, na której to posadzie zmarł, dobrze zasłużywszy się krajowi. Był to, że tak powiemy, typ nauczyciela swoim w rodzaju. Zacny, pracowity, zdolny, pełen poświęcenia bez granic dla dobra kształcącej się młodzieży. Czytelnicy *Opiekuna Domowego*, zapewnie przypomną sobie powiastkę: „*Złodziejski portret*“ umieszczoną w r. z. w tem piśmie. Postać zacnego nauczyciela matematyki w tej powieści nakreślona, była typową; zwróciła ona na siebie uwagę czytającego ogółu, lecz ogół nie wiedział, kto był tym zacnym nauczycielem. Dziś gdy świeża mogiła pokryła zwłoki zacnego człowieka, możemy powiedzieć, że nauczycielem matematyki w rzeczonej powieści —był Brzostowski. Autor starał się przekazać typ jego dalszej potomności. Zmarły Brzostowski obok prac nauczycielskich, w chwilach wolniejszych oddawał się pracy literackiej. W danym czasie był współpracownikiem pisma: „Magazyn powszechny“ wychodzącego w Warszawie, oraz „Wizerunków i roztrząsań naukowych Wileńskich.“ Nadto był on autorem popularnego dziełka „*Arytmetyka dla użytku początkowego*“ wydanego w 1833 roku w Warszawie i kilka razy potem w nowych wydaniach powtórzonego. Zwłoki Brzostowskiego niesione na barkach współkolegów i uczniów szkoły głównej, pochowane zostały w dniu 4 Lutego r. b. na cmentarzu Powązkowskim.

— **Męczarnie zwierząt.** (*Artykuł nadesłany z Drezna*). W tych dniach na rogach ulic w Dreźnie ukazały się następujące afisze:

Dziesięć talarów nagrody.

W jednym z ogrodów przy ulicy zwanej Aleją poprzeczną (Querallee) na przedmieściu Antonstadt, znalezionym został wróbel, którego nogi i ogon przypieczętowane były lakiem. Na odcisku pieczęci rozpoznać było można jedną z dwóch głosek, to jest G.

Niżej podpisane Towarzystwo zapewnia dziesięć talarów temu, ktoby dopomógł do wykrycia niegodnego złoczyńcy (den ruchlosen Uebelthaeters), który się dopuścił tego okrucieństwa.

(podpis) Dyrekcja Towarzystwa Opieki nad zwierzętami.

Przytoczyliśmy tu ogłoszenie jako przykład działalności istniejących za granicą towarzystw, mających na celu obronę zwierząt przeciw rozmyślnemu dręczęniu.

Towarzystwa takie istnieją prawie w każdem większem mieście. Wpływ ich w ogóle jest nader zbawienny. One to wzbudzają w opinji puplicznej uczucie potrzeby praw ochraniających niewinne stworzenia, pracujące razem z człowiekiem, oddające mu usługi, uprzyjemniające jego byt, od wybuchów barbarzyńskiego okrucieństwa, od pastwienia się, które w każdym razie braku czucia i nierozumu dowodzi.

Środki działania Towarzystw Opieki nad zwierzętami, są dosyć rozmaite. Najgłówniejszym z nich może, jest pociąganie do odpowiedzialności policyjnej lub sądowej dopuszczających się tego rodzaju czynów.

W niektórych krajach, podobne Towarzystwa mają sobie nadane pewne przywileje ułatwiające ich działalność. Tak naprzykład członkowie podobnego stowarzyszenia istniejącego w Paryżu, mają sobie wydawane karty, za okazaniem których, służy im prawo wezwać pierwszego spotkanego policjanta, aby natychmiast spisał protokół i pociągnął do odpowiedzialności człowieka, dopuszczającego się złego obchodzenia ze zwierzętami w jakikolwiek bądź sposób.

— **Ogrodnictwo** rozpada się jako nauka, a nawet praktycznie, na trzy wielkie działy, a mianowicie: na ogrodownictwo warzywne, ozdobne czyli kwiatowe i owocowe. To ostatnie niektórzy *sadownictwem* nazywają. O ile każde z tych trzech rodzajów ogrodnictwa wpływa na podniesienie zamożności klass średnich, staraliśmy się niejednokrotnie w piśmie naszem objaśniać i do zamiłowania ogrodów zachęcać czytelników naszych. Przejdźmy się tylko po składach owoców, po targach z włoszczyzną i kwiatami w Warszawie, a wtedy najlepiej sądząc po wygórowanych cenach płodów ogrodowych przekonany się, jakie one są dźwignią do pomnożenia zamożności domowej. Nie przestając przeto zachęcać czytelników i czytelniczki nasze zwłaszcza na wsiach zamieszkałe, do zamiłowania ogrodnictwa, dołączamy do niniejszego N-ru *Opiekuna domowego* dla wszystkich prenumeratorów na prowincji: „*Cennik i spis wszelkiego rodzaju nasion,*“ między któremi są i ogrodowe, na r. 1867 wydany przez Dom Handlowo-Kommissowy J. G. *Berlińskiego* w Warszawie, przy ulicy Rymarskiej, wprost Banku istniejący.

— **Mowa żydowska.** Nie trzeba uważać za jedno mowę przez lud żydowski tutejszego kraju używaną, z językiem hebrajskim. Podczas bowiem gdy język ten posiadający grammatykę swoją i literaturę, w którym Pismo święte Starego Zakonu jest napisane, od XVIII wieków przeszło, przestał być językiem żyjącym i używa się tylko przez Izraelitów wszędzie gdzie mieszkają, przy modlitwach i w pracach teologicznych; to mowa żydowska jest zepsutą niemczyzną, którą Izraelici przybywszy do nas z Niemiec z sobą przynieśli, do dziś dnia ją utrzymując. Z postępem cywilizacji, skutkiem zetknięcia się ludności żydowskiéj z zagranicą w stosunkach handlowych, mowa ta, nazwana żargonem (po niemiecku Kanderwelsch), ustępuje czystéj Niemczyznie. W takim to właśnie żargonie i czcionkami hebrajskiemi wychodzi u nas pismo perjodyczne p. t. *Judische Zeitung* mające na celu oświatę niższych warstw społeczeństwa żydowskiego, które choć dosyć dobrze po polsku mówią, ale czytać ani pisać nie umieją.

— **Oznaki cywilizacji.** Cywilizacja zasadza się głównie na znajomości pisania, im więcéj ludzi umie pisać, tém wyższym jest stopień cywilizacji i choć trudno obliczyć ile się w świecie pisze, to przecież możemy sobie utworzyć o tém przybliżone wyobrażenie, jeżeli zważymy iż w samem mieście Birminghamie w Anglji, fabrykuje się co tydzień 98,000 wielkich tuzinów (po 12 tuzinów) piór stalowych, przyjąwszy iż jedna stalówka może służyć do zapisania 4 arkuszy papieru, to wypada iż w ciągu roku zapisuje się za pośrednictwem fabryk tego jednego tylko miasta przeszło 140 miljonów ryz papieru rocznie.



Wyżymadło do bielizny (do str, 62)—(Rysowała i wycięła na drzewie Sulińska.

— **Ogłoszenia** *w Gazetach Amerykańskich*. Aby sobie utworzyć obraz ruchu, handlu i przemysłu w Stanach Zjednoczonych Ameryki, możemy przyjąć za podstawę ogłoszenia podane w Gazetach. W roku 1865 opłata za doniesienie w 12 głównych gazetach amerykańskich wyniosła razem 3 miliony rubli. Sam właściciel Dziennika *Herald* wystawił dla biór téj Gazety pałac marmurowy za 1 miljon dollarów (8 mil. złp.), osobom zaś przy niéj zatrudnionym płaci rocznéj pensji 60,900 dollarów. Przyjąwszy zapłatę za doniesienia w Gazetach Warszawskich przez przybliżenie na rs. 10,000 rocznie, okazuje się iż ruch handlowy w Stanach Zjednoczonych jest 300 razy większy jak u nas. Pod tym względem więc jakże straszne u nas zacofanie, zważywszy iż ludność Stanów Zjednoczonych jest ledwo 5 razy większą od naszéj.

— **Świeże bukiety.** Dla zachowania jak najdłużéj w naturalnéj świeżości bukietów, takowe zwykle wstawiają się w wodę, lecz że woda prędko się psuje, dla tego więc należy ją odmieniać przynajmniéj raz na dzień, przyczem kwiaty bywają nieraz pomięte i uszkodzone. Chcąc uniknąć tych niedogodności, dobrem jest dosypać do wody niewielką ilość sproszkowanego węgla. Chińczycy zaś dla utrzymania świeżości kwiatów, prrzypalają ich końce, które następnie wkładają w wodę.

— **Gazeta Przemysłowa** wychodzi w Krakowie rok drugi pod redakcją Inżeniera Cywilnego, Walerego Kołodziejskiego; zalecając czytelnikom naszym jak najusilniej to pismo, załączamy dla wszystkich prenumeratorów na prowincję prospekt takowego pisma do dzisiejszego N-ru *Opiekuna Domowego.*

— **Nagrody na wystawie Paryzkiej.** Oprócz nagród, jakie na wystawie tegorocznej Paryzkiej rozdawane będą za postępy w przemyśle, rolnictwie, sztukach pięknych, osóbny oddział nagród ustanowiony został dla osób zakładów i miejscowości, które w skutek szczególnej organizacji lub specjalnych instytucij, rozwinąć zdołały dobrą harmonję pomiędzy wszystkiemi biorącemi udział w pracy, i zapewniły robotnikom dobrobyt moralny, materjalny i intelligencyjny. Sto tysięcy fr. przeznaczono na 10 nagród, a obok tego ma być jeszcze 20 pochwał. Nadto, za szczególne i nadzwyczajne zasługi pod tym względem, wyznaczona została jedna wielka nagroda 100 tysięcy fr. Oddzielni przysięgli z różnych narodowości, wyrokować mają co do tych nagród, a prace swoje rozpoczęły już 1-go Grudnia r. z.

Myśli i Zdania.

— Im więcéj czeladzi, tem więcéj kłopotów, bo każdy jeden spuszcza się na drugiego, że za niego zrobi; to też przysłowie polskie powiada: „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść".

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Przy zielonym stoliku, w obec licznego towarzystwa.*)

MYDŁEK. Dziś grałem szczęśliwie, lecz miałem nieszczęście bo mi lampę stłuczono.

PAN ARKADY. Pokaż ino pan, czy z prawej czy z lewej strony?

PAN JAN. Dali-Bóg z obudwu, bo oba policzki czerwone.

MYDŁEK. Dajcie państwo pokój, bo się na tem nieznacie, jesteście *frajerzy*. Lampa dobrze stłuczona jest siną, a nie czerwoną.

PAN ARKADY. Widać tedy że cię tylko trochę poturbowali.

MYDŁEK. Tak jest, to swoja rzecz, ale ja przecież mówiłem o lampie.

---

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: ADAM MIECZYŃSKI.